



Aleksander Janowski

Tłumacz

- reportaż z życia

Aleksander Janowski
„Tłumacz – reportaż z życia”

Copyright © by Aleksander Janowski, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Renata Grześkowiak
Korekta: Ryszard Krupiński
Ilustracje na okładce: @ Julis Simo Photography – www.JulisSimo.com

ISBN: 978-83-7900-392-1

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Stołpce	4
Nowa Ruda61
Chorzów-Batory90
Jelenia Góra	106
Warszawa	121
Interpress	175

Stołpce

Po zajęciu miasteczka we wrześniu 1939 roku Sowieci zabrali z domów i wywieźli wyższych urzędników starostwa, policjantów i księży. Biedacy nigdy nie powrócili, nikt z mieszkańców nie znał ich dalszego losu.

Siedemnastowieczny kościół św. Kazimierza zamknięto i przeznaczono na magazyn zbożowy i warzywniczy – już na zawsze. Pomniejszym pracownikom administracji polskiej pozwolono tymczasowo pracować na poprzednich stanowiskach, pod czujnym okiem nowych opiekunów.

Mama opowiadała, jak któregoś ranka przyszli do nas dwaj wojskowi, ze smagłym cywilem o nietutejszym wyglądzie. Oświadczyli, że poszukują polskich burżujów, kułaków i żołnierzy. Rodzice stanowczo zaprzeczyli przynależności do wymienionych kategorii.

Po dokładnym obejrzeniu całego domu przybysze zakomunikowali, że chociaż mieszkamy na kilku pokojach, mamy stołową zastawę porcelanową, białe obrusy, drogie meble i zapastowane podłogi, to jednak nie wyzyskiwaliśmy siły najmniejszej w żadnej postaci. W swojej wspaniałomyślności nowa władza sowiecka pozwala nam korzystać z owoców pracy naszych rąk. Poza tym, sąsiedzi Białorusini potwierdzili, że mamy do nich prawidłowy stosunek, a nawet na Nowy Rok obdarowujemy prezentami.

Te symbole religijne na ścianie to jednak gospodyni musi zdjąć. I te polskie książki – żeby tam nie było propagandy antyrządowej. Pora najwyższa czytać dzieła Puszkina i Tołstoja.

– Czytamy – odezwała się mama.

– Co, już macie? Annę Kareninę? To dobra rzecz. A te skrzypce na ścianie to czyje? Aha, gospodyni grywa. Dobrze, my muzykę szanujemy. A obywatel Józef Janowski niech sobie dalej spokojnie pracuje... Ten prywatny zakład fryzjerski, który go zatrudniał, będzie przekształcony w spółdzielnię, bo u nas, w Związku Sowieckim nie ma wyzysku człowieka przez człowieka. Rzemieślnicy uspołecznieni to przecież też ważny oddział międzynarodowej klasy robotniczej. A potem zobaczymy.

Na odchodnym poinformowali, że taka przestrzeń mieszkaniowa nam się już nie należy i musimy przyjąć „kwatery” – od zaraz i za darmo. Jeden pokój możemy sobie zostawić. W zupełności wystarczy na nasze potrzeby. Resztę domu musimy opróżnić – już.

Po kilku tygodniach starszą siostrę mamy zwolniono z pracy w gimnazjum. Z powodu wady wzroku nie wyglądała atrakcyjnie, nigdy nie wyszła za mąż i pozostała bez środków do życia. Nauczanie było jej wielką pasją życiową, oprócz muzyki i literatury.

Z uwagi na doskonałą znajomość języka rosyjskiego, proszono ją czasem o korepetycje dla dzieci sowieckich notabli. Płacono konserwami, chlebem czy cukrem. Niekiedy wręczano kilka metrów materiału, co też dało się u okolicznych chłopów wymienić na żywność.

Kilka lat później znajoma maszynistka, która pisała sowieckie odezwy do ludności, wyznała, że widziała nazwisko Zofii Samochwał na liście osób niepewnych co do lojalności wobec nowego porządku społecznego.

Wtedy też zaczęto zwalniać z pracy na kolei Polaków.

Od wczesnej wiosny, natomiast, 1941 roku białoruscy kolejarze zaczęli opowiadać w tajemnicy o potężnych ilościach butów wojskowych, szyneli, pocisków i innego mienia

transportowanego koleją w kierunku Brześcia. Starsi sąsiedzi – Białorusini mówili po cichu: „Jeżeli wiozą buty na granicę, będzie wielka wojna jak w 1914. Znów pogonią nas z bagnetami na Niemca.”

Tymczasem w czerwcu uderzyli właśnie Niemcy.

Rodzice z dwuletnią córeczką i mną, kilkumiesięcznym, schronili się w piwnicy. Okna na górze pozatykali pierzynami i poduszkami, co miało chronić przed odłamkami, pociskami i kulami. Słyszeli odgłosy artylerii, terkot karabinów maszynowych i coś jakby siekanie ciężkim grochem po ścianach.

Na rogu naszej ulicy stał młodziutki sowiecki żołnierz z długim, wąskim bagnetem na karabinie. Widocznie nie otrzymał rozkazu wycofania się, bo tkwił tak na widoku, nawet nie próbując się ukryć. Na zawołania, aby się czołwał, odpowiadał z dumą i z pewną wzgardą: „Sowiec mnie na posterunek postawił, Sowiec mnie zdejmie.” Rano leżał tam, patrząc nieruchomymi otwartymi oczami w niebo, z tym swoim karabinem w dłoni. Pochowano go później w pobliskim parku.

Niemcy prawie już zdobyli miasteczko, kiedy Sowietci, ukryci w dawnym polskim gimnazjum na wzgórkach, poprowadzili stamtąd gwałtowny atak na bagnety z ogłuszającym krzykiem „hura” i odrzucili Wehrmacht z powrotem prawie pod Niemen. Dopiero po uderzeniu wzmocnionymi oddziałami piechoty, przy wsparciu artylerii, Niemcy opanowali Stołpcę.

Pierzyny w oknach naszego domu posiekane zostały w drobny puch, pierze jeszcze przez kilka dni fruwało w powietrzu. Za to w środku duże kryształowe lustro w pokoju i meble pozostały nietknięte.

Żołnierze niemieccy przeczesywali miasto, wyłapując komunistów, komisarzy i Żydów. Szeregowych czerwonarmistów, w ogromnej masie wziętych do niewoli, zatrudnili do

grzebania zabitych i na początku specjalnie nie pilnowali. Białorusinów zwolniono potem do domów. Niemcy zapewniali, że władza sowiecka już na zawsze „kaput”. Kołchozy zostaną zlikwidowane.

Po kilku tygodniach powrócił do domu mąż dalszej sąsiadki, który służył gdzieś na sowieckim lotnisku koło Baranowicz. Opowiadał, że w przeddzień hitlerowskiego ataku otrzymali rozkaz zdemontowania i czyszczenia karabinów maszynowych w swoich samolotach. Więc jak mieli się bronić? Sabotaż czy co?

Nazwa naszego miasteczka pochodzić miała od rosyjskiego słowa oznaczającego potężne słupy, czyli pale wbijane w piaszczyste dno, do których przywiązywano na noc splewane po Niemnie długie tratwy. Drewno trafiało do tartaków w dolnym biegu rzeki.

Miasteczko graniczne Stołpce na krańcach Rzeczypospolitej, położone w odległości 40 km od Nowogródka, siedziby Radziwiłłów, zamieszkiwała wtedy ludność białoruska, polska i żydowska.

W rękę tej ostatniej był praktycznie cały drobny handel. Opowiadano, jak Radziwiłł wchodził do takiego sklepiku:

– Na ile masz tu towaru, Żydzie? – rzucał od progu pytanie.

– Na pięćset złotych, proszę księcia – usłużnie odpowiadał właściciel.

– Łiesz, daję trzysta, kupuję ten cały sklep – oznajmiał arystokrata.

– Jaśnie panie, po co jaśnie panu ten zapyziały sklepik? – pytał zdziwiony zarządca majątku

– Łatwiej jest wybrać parę rzeczy, a resztę wyrzucić, niż się w tym grzebać i szukać, czego chcę – wyjaśniał dumny książę.

Uradowany handlarz długo jeszcze kłaniał się odjeżdżającemu powozowi.

W tamtejszym folklorze polsko-białoruskim do naszych dni przechowały się powiedzonka typu: „Lata jak Żyd po pustym sklepie” oraz „Przebiegły jak żydowski karczmarz”.

Kilka tygodni po zdobyciu miasteczka niemieckie wojska szturmowe zaszły już daleko pod Smoleńsk, a w Stołpcach rozkwaterowano oddziały tyłowe.

Utworzono getto z żydowskimi policjantami, pilnującymi tam porządku. W sąsiednim Nowym Swierznii Niemcy spalili synagogę.

Stołpeccy Żydzi nadal wierzyli, że kulturalni przecież Niemcy nie wyrządzą im krzywdy. Nieliczni tylko wyznawcy religii mojżeszowej uciekali z getta i przedstawiali się do okolicznych lasów.

Jesienią spędzono wszystkich Żydów na rynek, trzymając ich bez pożywienia i wody, po czym poprowadzono pod eskortą do pobliskiego lasu.

Ludzie wylegali na ulice, podając konwojowanym wodę, chleb, owoce. Niemcy odpędzali mieszkańców krzykiem i kolbami karabinów. Moja mama, wtedy niespełna dwudziestolatnia, wybiegła na pobocze z garnkiem mleka i bochenkiem chleba w ręku. Już wręczała jedzenie młodej Żydówce z dwójgim dziewczynką, kiedy tamta popchnęła dzieci w jej kierunku: „Schowaj je, po wojnie odbiorę.” Niemiec, widząc to, odwrócił się tyłem. Długa kolumna powoli zniknęła w lesie.

Po jakimś czasie rozległy się stamtąd długie serie karabinów maszynowych.

Niemcy powrócili do miasteczka sami. Pod lasem wystawili zbrojne posterunki i nie wpuszczali nikogo, nawet dzieci zbierające jagody.

Podobno zginęło wtedy około 3000 Żydów.

Dziewczynki były przechowywane u nas na strychu. Jedzenie i picie otrzymywały tylko w nocy. I tylko wtedy mogły

trochę pochodzić po podwórku. Po pół roku odprowadzono je do partyzantów.

Ojca zatrzymał po godzinie policyjnej patrol żandarmerii. Na szczęście ktoś to widział i zawiadomił natychmiast mamę. Pobiegnęła szybko na niemiecki posterunek i usłyszała, że jeśli dostarczy „schmaltz, jajka, masło, schnaps – schnell, to herr Josef będzie wypuszczony.”

Wehrmacht, szczególnie żołnierze starsi, jeszcze byli wtedy ludzcy. W Stołpcach nastąpiło już zacisze za linią szybko przesuwającego się na Wschód frontu. Partyzanci w lasach jeszcze nie uaktywnili się.

Mama szybko się uwinęła, przyniosła prowiant w sporym koszu wiklinowym, który Niemcy też zarekwirowali. Rozeźlona rzuciła: „oby was franca wzięła”, na co usłyszała: „ja, ja, matka, Francja kaput”. Ojca zwolniono, z kopniakami i pogroźkami, ale najpierw musiał wypić kieliszek tego schnapsu, by wykazać, że nie jest zatruty.

Później, w zimie 1943, zjawił się u nas białoruski policjant, który służył u Niemców. Oznajmił, że od dawna wiedział, że trzymamy Żydóweczki na strychu. No to niby komu pani Janowska tam nosiła po drabinie garnuszki z jedzeniem? Kozom?

Prosił o poświadczenie, kiedy Ruscy wrócą, że był porządny i nikomu krzywdy nie wyrządził, a poszedł na służbę, bo tak było trzeba. Mama po odejściu Niemców poszła z nim do sowieckiej komendantury i poświadczyła. To samo uczynili sąsiedzi.

Wtulamy się w nagrzaną, letnią ziemię 1944. Obecny nasz dom nie ma piwnicy, więc leżymy pod płótem w gęstym zapachu lip, w wykopanym przez ojca wgłębieniu, niby takim okopie.

Na niebie rozbłyskują flary, wolno opadają ku ziemi, jakiś samolot chwytają długie kleszcze reflektorów, szczekają armatki przeciwlotnicze, przeciągają świetlne ślady pocisków.

Wybuchy. Jeszcze wybuchy. Więcej wybuchów. Bliżej.

– Bombardują mosty na Niemnie – wyjaśnia ojciec.

Mnie się to wszystko strasznie podoba. Kręcę głową na wszystkie strony, by więcej zobaczyć. Naraz coś straszliwie łupnęło i ogromny konar z pobliskiej lipy runął na ziemię z łoskotem. W pobliżu. Już nie byłem taki ciekawski.

Nasze pokoje pełne są niemieckich żołnierzy w szarych mundurach. Leżą na podłodze, siedzą, oparci o ścianę, niektórzy czyszczą broń. Przez uchylone drzwi kuchni, gdzie nam z mamą wolno przebywać, widzę jak jeden z nich, starszy wiekiem, wyjął z plecaka pomarańczę i zaczął obierać wielkim bagnetem. Napotykając moje spojrzenie, uśmiechnął się. Wyciągnął owoc w moją stronę. Wbiegłem, chwyciłem obraną pomarańczę w obie ręce. I już pędzę z powrotem.

– Powiedz „danke” podpowiada mama. Zmieszalem się. Żołnierze się roześmieli. Jeden z nich, bardzo młody, skończył czyścić karabin i nagle obracając się w moim kierunku z przekrzywioną ze złości twarzą, wymierzył we mnie broń:

– Partizan! Pu! Pu!

Rzuciwszy pomarańczę, z krzykiem i płaczem wbiegłem do kuchni i wtuliłem się mamie w spódnicę. Mama gwałtownie wtargnęła do pokoju i zaczęła wymyślać po polsku do żołnierza.

Z mojego pokoiku dziecinnego wyjrzał oficer i widocznie zapytał o przyczynę hałasu. Po wyjaśnieniu przez mojego dobroczyńcę podszedł do młodego żołnierza i na odlew trzasnął go otwartą dłonią w twarz:

– Schwein, schweinehund... i coś tam jeszcze.

Wszedł do nas i salutując do daszku, po rosyjsku przeprosił za zachowanie jego podwładnego. Wyjął portfel i pokazał zdjęcie – „meine frau und zwei kinder, drei und zwei yahre...” Za nim wszedł ten pobity, jeszcze z czerwonym policzkiem,

ucałował mamę w rękę, poprosił o wybaczenie, a dla mnie położył na stole ogromną czekoladę i kilka pomarańczy.

Rano ich już nie było.

Przez kilka kolejnych nocy budziłem się z trwoźnego snu z okropnym wrzaskiem – i już nie zasypiałem. Sąsiadka przyprowadziła babkę – szeptunkę, która wzięła do ręki surowe jajko, przyłożyła mi je do czoła i, zataczając nim szerokie kręgi, coś szeptała przez dłuższy czas.

Skończyła, wyprostowała się, kazała otworzyć okno i dalekim rzutem roztrzaskała jajko o kamienny ganek. Zapewniła, że teraz Oleś będzie spał jak niemowlę. Sprawdziło się.

Musieliśmy wraz z innymi uciekać do lasu, kiedy walki osiągnęły duże natężenie. Mieszkaliśmy w wilgotnych ziemiankach. Panowała wtedy wśród dzieci epidemia zapalenia opon mózgowych. Zabrała mi starszą siostrzyczkę i młodszego braciszka. Tam też dostałem objawów krzywicy, z braku odpowiedniego pożywienia. Żadne chyba dziecko nie wypilo potem tyle tranu, ze stoickim spokojem, no bo chciałem urosnąć, a powiedziano mi, że bez tego rybiego oleju to nie będzie możliwe.

Ojca po jakimś czasie wcielono do II Armii Wojska Polskiego. Nie zostało na naszej ulicy w miasteczku wielu dorosłych – tylko kalecy, ranni, ozdrowieńcy czekający na przydział na front, starcy, dorastające dzieci i wiele osamotnionych kobiet.

Listy do nas i do sąsiadek przychodziły złożone w trójkąt, bez kopert. W miejscu adresu nadawcy odcisnięto numer poczty polowej, aby nie zdradzić miejsca stacjonowania jednostki wojskowej. Przez kilka miesięcy nie miewaliśmy żadnych wiadomości, po czym naraz listonoszka przynosiła po 2–3 listy. Kobiety zazwyczaj prosiły mamę o ich odczytanie na głos, czego nigdy nie odmawiała.

Pewnego razu mama zaprosiła do siebie kilka kum, jak je żartobliwie nazywała, na herbatę, konfitury i ciastka domowej roboty z grubo mielonej żytniej mąki.

Po zwykłych damskich ploteczkach, kto co sobie uszył nowego, rozmowa zeszała na brak wiadomości od mężów na froncie. Jedna z pań, brunetka z gładko zaczesanymi włosami, na którą mogłem patrzeć godzinami, usiłowała sobie przypomnieć treść ostatniego listu, który jej dzieciaki gdzieś zapodziały. Mama starała się jej w tym pomóc, ale oprócz ogólników niczego nie mogła dokładnie przypomnieć – pamiętała tylko, że przyszedł z Polski.

Słyszając to, wyszedłem ze swego pokoiku, gdzie bawiłem się polanami i aluminiowymi kubkami w maszynistę lokomotywy i powiedziałem:

– Ależ nie, mamusiu, on pisał: „Droga moja żonko Mario! Chcę cię powiadomić, że zdrow jestem, chociaż leżę ranny w obie nogi i poruszać się jeszcze nie mogę. Za dwa tygodnie nasz felczer polowy ma przynieść mi kule i będę starał się samodzielnie chodzić...” Dalej nie zapamiętałem, bo wtedy już zasypiałem. Wyrecytowałem i wróciłem do swojej lokomotywy.

Zapadła cisza. Panie wtargnęły za mną, tarmosząc mnie, ściskając, przytulając i wciskając mi do ręki suche biszkopty. To co, same nie chciały zapamiętać?

Podobną w swojej wymowie scenę – opisaną oczywiście niezrównanie lepiej, z prawdziwym talentem literackim, wyczytałem o wiele później u Walentyna Katajewa w powieści „Dwaj Kapitanowie”. Jak podobne bywają wojenne losy.

Po wycofaniu się Niemców ze Stołpc, na okolicznych łąkach między Niemnem a nasypem kolejowym poniewierało się mnóstwo nadzwyczaj atrakcyjnych rzeczy – karabiny, pistolety, moździerze, rozbite armaty, hełmy, buty, wojskowe noże, piciski, taśmy z nabojami do karabinów maszynowych,

puste łuski artyleryjskie, pasy, bandaże, plecaki, maski przeciwgazowe, lekarstwa, nawet całe samochody, bez paliwa, ale z kierownicami, którymi można było do woli kręcić. I góry pustych metalowych kanistrów po benzynie. Starsi chłopcy myszkowali tam przez całe dni.

Już po wycofaniu się Niemcy zrzucali z samolotów pseudozabawki – lalki, wieczne pióra, ozdobne pudełka. Weźmie dzieciak to do ręki, pokręci, wybuch – i kolejny malec straci rączkę lub oko. Miałem kategorycznie nakazane, abym niczego nie dotykał. Nie dotykałem, skądże – bardzo ostrożnie brałem znaną zabawkę do ręki i niosłem zdobycz do domu. Mama bladła, odbierała mi znalezisko i pośpiesznie biegła wrzucić to do toalety za domem.

Kilka dni później mężczyźni wykopali u jednego z sąsiadów przepastny dół, do którego się schodziło po dwóch związanych razem drabinach i zaczęli zwozić z pól porzucony sprzęt wojskowy. Zajęło im to całutki dzień. Wszystkie atrybuty śmierci – naboje, pociski, karabiny, moździerze, granaty i miny ciskano do dołu, zalewano niegaszonym wapnem i zasypywano. Zwożono tylko to, co było widać na polu gołym okiem. Ile pozostało w lasach, nikt nie wie. Dół zasypano, udeptano, sąsiad zładował na wierzch dwie pełne fury krowiego nawozu.

Jeszcze długo potem wokół miasta znajdowano miny i pociski i po wybuchu wieziono kogoś galopem do szpitala na chłopskiej furmance.

Ze spalonych przez partyzantów niemieckich ciężarówek, na drodze do pobliskiej wsi Okińczyce, miejscowi chłopcy wycinali kawałki opon. Rzemykami przymocowywali je do swoich łapci czy walonków i idąc pozostawiali za sobą ślady pojazdu. W okolicy powstało powiedzonko: „U nas każdy Białarus ma swój autabus”.



Oleś trzylatek we własnym ogrodzie

Dzieciaki natomiast, z kół zniszczonej tankietki niemieckiej, wycinali kawałki twardego kauczuku, które świetnie zastępowały piłki do palanta. Niestety, któregoś dnia przyjechał ogromny wojskowy ciągnik – taki czołg bez wieży i armaty – i odholował te okopcone, stalowe wraki na stację kolejową, skąd pojechały chyba na przetop.

Po powrocie z lasu zobaczyliśmy tylko spalony komin na miejscu naszego domu. Same zgliszcza. Musieliśmy od tego momentu płacić sąsiadowi za wynajmowane u niego pomieszczenia. Nie było to przyjemne, ponieważ co wiosnę przychodził i oznajmiał, że cena owsa na targu poszła w górę i on musi nam podnieść czynsz. Co miał owies wspólnego z czynszem, proszę mi wytłumaczyć.

Pewnego wieczora sąsiadka pokazała mamie list. Napisane było, że jej mąż na własne oczy widział, jak Józek padł martwy po wybuchu pocisku artyleryjskiego gdzieś pod Bautzen.

Mama płakała po nocach przez parę tygodni. Zostałem bez ojca jak wielu moich rówieśników.

Sąsiedzka dziewczynka poszła na jesieni do pierwszej klasy i strasznie dumna kreśliła na piasku na podwórku jakieś krzywe kółka i pałki, mówiąc, że to jest jej imię.

– A ty jak się nazywasz? – zapytała któregoś dnia. Powiedziałem.

– No to patrz, to jest twoje imię – wskazała jakieś bażgrochy na ziemi.

Wziąłem patyk, usiłując ją naśladować i niestety nie wychodziło mi. Chwyła moją rękę i poprowadziła ją równo. E, to nie jest takie straszne. Po pół godzinie umiałem już O i L i E i K, tylko każde osobno i nie po kolei. Musiała mi podpowiadać, gdzie te pałeczki stawiać. Mamie nic nie mówiłem, bo nie rozumiałem, do czego te litery właściwie służą i po co je należy pisać.

Po tygodniu Ola mi wyjaśniła, że jak nie chcesz mówić, to możesz napisać. No to zacząłem koślawo wyprowadzać na piasku, pod jej dyktando, te pocieszne kreski, pałki i kółka.

Weszła na podwórko mama.

– O! Ty, Olu, już piszesz.

– To on. To Olek – odpowiedziała moja starsza koleżanka.

– Niemożliwe – zareagowała mama. No to uniosłem się dziecięcą dumą i nabazgrałem jednym ciągiem OKEL, ale i tak wrażenie wywarłem piorunujące. Dostaliśmy papierowego rubla na lody. Żółte, z samego dna miedzianej bańki, smakowały najbardziej. Tylko daleko trzeba było po nie chodzić, do centrum miasta. Kilka kilometrów.

Mama obiecała Oli, że jak nauczy mnie czytać, dostaniemy trzy ruble. Bazgraliśmy więc litery na piasku aż do końca września, ale można było powiedzieć, że w wieku czterech lat już kreśliłem i dukałem poprawnie prawie wszystko.

Dostaliśmy w nagrodę całe pięć rubli i zapalenia gardła od tych lodów. Wcześniej przekonałem się, że nauka wymaga ofiar.

Latem 1945 zaczęli powracać żołnierze z frontu. Ciągnęli piechotą z odległej o trzy kilometry stacji kolejowej. Brnęli w wytartych, wypłowiałych wojskowych bluzach i zakurzonych, wysokich, brezentowych butach. Jednym zwisały z ramion wypchane wojskowe plecaki, inni taszczyli w ręku dyktowe walizeczki.

Przywozili z Niemiec igły patefonowe, kawałki jedwabiu spadochronowego żonom na sukienki lub długie, piękne koszule nocne. Dla dzieci – nakręcane lalki, co same przewracały oczami, układane do snu. Dla chłopców – zabawkowe pistolety. Sobie – zdobyczne zegarki lub wspaniałe brzytwy Solingen do golenia.

Kobiety wybiegały im na spotkanie, wieszały się u szyi. Radość, łzy, śmiech, płacz.

Zapraszano do domów wszystkich sąsiadów, wyciągano litrowe butelki samogonu, ogórki, pomidory, słoninę, cebulę, chleb, bo przecież ukochany Wasia lub Misza powrócił z tej okropnej wojny...

Cieszyliśmy się z cudzego wielkiego szczęścia.

Po kilku tygodniach powróciła już chyba cała pierwsza partia tych, którzy nie pozostali w wojskach okupacyjnych lub gdzieś leczyli rany na dalekiej obczyźnie. Ta piękna pani o kruczoczarnych włosach zaprosiła nas również na urodziny jej męża, który szczęśliwie powrócił po czterech latach zdrów i cały. Jak mawiał, artylerzyści długo nie żyją, ale jemu się poszczęściło.

Wujek Igor, jak kazał mi się nazywać, był wesoły, ożywiony i rozmowny. Tańczył z paniami pod patefon, grał na zdo-
bycznym akordeonie, śpiewał solo, dowcipkował.

Po kolejnym toaście za towarzysza Stalina, za Ojczyznę oraz nas wszystkich odwrócił się do mamy i zapytał wesoło:

– No, a kiedy twój Józek wraca?

Jego żona zaczęła mu dawać znaki, że temat jest niestosowny. Mama odrzekła nieco drżącym głosem, że Józek niestety nie żyje.

Ależ co ty mi tu, droga Marysiu, opowiadasz... kiedy ja dwa miesiące temu piłem z nim spirytus lekarski w lazarecie w Bautzen... – oznajmił z szerokim uśmiechem.

Mama zemdłała.

Ocuconej kazano wypić do dna ćwierć szklanki samogonu za zdrowie ocalałego męża. Wujek Igor szczegółowo opowiedział, jak to Józek został ranny w głowę odłamkiem i leżał trzy dni bez pamięci w szpitalu, gdzie nie dawano mu wielu szans na przeżycie.

Mama znów zemdłała. Natarto jej skronie samogonem i jako najlepsze lekarstwo na wzmocnienie znów zaproponowano ćwierć szklanki samogonu. Tym razem odmówiła.

– Delikatne te Polki, nie to, co my, miejscowe – komentowały panie z ożywieniem.

* * *

W wieku sześciu lat należało zapisać mnie do szkoły. W miasteczku działały chyba ze trzy podstawówki z wykładowym językiem białoruskim. Ponieważ w rubryce narodowość mieliśmy teraz wszyscy napisane „Białorusin”, automatycznie przydzielono mnie do jednej z ich. Za radą znajomej, która powiedziała rozsądnie: „Gdzie wasz syn potem pójdzie się uczyć z tym białoruskim? Musi go pani wstawić do rosyjskiej szkoły” mama upiekła wielgachny orzechowy tort i zapisała się na rozmowę do dyrektora Rosyjskiej Szkoły Średniej mieszczącej się w dawnym polskim gimnazjum.

Oświadczyła tryumfalnie po powrocie do domu, że od nowego roku szkolnego będę uczniem tej prestiżowej placówki.

Ucieszyłem się tylko dlatego, że do niej miał też uczęszczać mój towarzysz nadniemeńskich zabaw, Białorusin Włodek Zuk. W wieku sześciu lat malował już przepiękne kolorowe pocztówki – kopiował jakiegoś Rembrandta i Rafaela, jak mi wyjaśnił. Brał po dziesięć rubli od sztuki, czyli równość dwóch kilogramów kiełbasy, jeżeli akurat dowiedzieli do sklepu. Przypominam, że w Stołpcach, pozbawionych wielkiego przemysłu, średnio zarabiano wtedy około 110 rubli miesięcznie.

Tata – kolejarz kilka tygodni wcześniej opakował w gazetę olejny portret dyrektorskiej córki, namalowany przez Włodka z jej czarno-białego zdjęcia. Na portrecie młodociany artysta ubrał swoją modelkę w białą wyszywaną bluzkę, jaką widział



Pierwszoklasista

na mojej mamie. Tata pojechał na rowerze do dyrektora szkoły i sprawę nauki syna załatwił od ręki, a raczej z rąk do rąk.

Rozumie się samo przez się, że tak wielki talent malarski mógł w pełni rozwinąć się tylko w Rosyjskiej Szkole Średniej, gdzie nauczał rysunku doskonały wujek Sasza, uznany w okolicy artysta. Jego ogromne olejne dzieło pt „Lenin i robotnicy” zdobiło główną ścianę auli szkolnej.

– Włosy u tego w kufajce... widzisz... nie tego... Nie wyszły mu, chyba się śpieszył – skomentował zdolny uczeń Włodek.

Szkoła stoi na niewielkim wzgórzu, skąd roztacza się rozległy widok na dolinę Niemna i po jej drugiej stronie – miasteczko Nowy Swierzeń, założone jeszcze za Wielkiego Księcia Litewskiego. Na lewo w oddali biegnie nasyp kolejowy z dwutorową koleją do Baranowicz i dalej do Brześcia, przez stalowy most na rzece. Kilkaset metrów na prawo – drugi most, tym razem drewniany, dla ruchu kołowego. Zaraz za nim, w najszerszym miejscu rzeki – metrowej głębokości szeroki bród, gdzie kąpaliśmy się i pływaliliśmy. Tędy podobno przekraczały Niemen oddziały Napoleona w drodze na Moskwę w roku 1812. Tak przynajmniej mawiano.

Za polskich czasów po rzece pływała biała flota. Dalej w dole rzeki, na zakręcie widać jeszcze drewniane resztki przystani. Nurt tu już staje się niebezpieczny – rwący i wartki, z wirami, co niejednemu śmiałkowi zabrały życie.

Obok szkoły, o rzut kamieniem, na prawo, stoi dwupiętrowy murowany szpital, gdzie 9 lutego, o drugiej w nocy przyszedłem na świat i dostałem pierwszego w życiu klapsa. Idąc w górę dochodzi się do głównej ulicy, przy której mieściły się dawne polskie koszary wojskowe. Jeszcze w 1955 roku, jeśli się dobrze przyjrzało, widziało się na frontonie niedbale zamalowanego polskiego orła w koronie, tuż pod powiewającą, wypłowiałą czerwoną flagą.

Wtedy też znalazłem na niezabudowanym terenie przed szkołą polską monetę jednozłotową, z jasnego metalu, z orłem w koronie i napisem Rzeczpospolita Polska, 1934. – Doczekamy, synu, schowaj to... jeszcze ich szlag trafi – skomentowała mama, mając na myśli Sowietów.

Zgodnie ze szkolnym zwyczajem rosyjskim, przez pierwsze cztery lata nauki mieliśmy jedną nauczycielkę do wszystkich przedmiotów. Nami opiekowała się macierzyńska, opiekuńcza, łagodna, cierpliwa, wyrozumiała i kochana Nina Iwanowna, o łagodnej, otwartej, rosyjskiej twarzy, zawsze w skromnym, szarym kostiumie, w koku upiętym z tyłu głowy. Jeśli jest gdzieś tam nauczycielski raj, na pewno tam przebywa, w pierwszym szeregu. Zasłużyła na to w pełni.

Klasy były liczne, po 35 osób. Do szkoły chodziło się na zmiany – maluchy od 1 do 4 klasy tylko na pierwszą, starszaki – na drugą. Szatnię mieliśmy małą, ciasną i ciemną. Wieszaki u palta zawsze urywano w tłoku. Toaleta mieściła się na podwórzu, bez wygod i bieżącej wody. W czasie mrozów przebiec tam i z powrotem to był naprawdę wyczyn.

Poziom nauczania języka rosyjskiego i przedmiotów ścisłych był wysoki. Uczyły nas przeważnie żony oficerów stacjonujących w Stołpcach. Większość z wykształceniem wyższym, rozmiłowane w swoim przedmiocie, entuzjastki gotowe poświęcać dla nas swój czas i wysiłek.

Jedyną niemiłą osobą była nauczycielka geografii. Nienawidziła dzieci. Sadystycznie rygorystyczna, biła nas po rękach z całej siły szeroką linijką. Koścista, chrapliwy głos, rzadkie, rudziejące, przetłuszczone włosy. Z lubością stawiała jedyńki do dzienniczka, tylko za to, że na przykład uczeń wychylał się o centymetr z szeregu, aby lepiej widzieć, co napisała na tablicy. Nie skutkowały skargi naszych rodziców. Przeniesiono ją gdzieś dopiero kilka lat później.

W starszych klasach piękna Turkmenka – matematyczka starała się pogłębić nasze zainteresowanie jej przedmiotem i zawsze oprócz regularnej pracy domowej zadawała coś „dla łamania głowy”. Mieściłem się w pierwszej dziesiątce w klasie i właściwie prawie zawsze mnie i Włodkowi udawało się te łamigłówki rozwiązać.

Prym w matematyce wodzili jednak Rosjanka Kozłowska i Jurek Poleszczuk, Białorusin, jeden z dziewięciorga dzieci tzw. Matki – Bohaterki odznaczonej medalem za wielodzieństwo. Miałem wrażenie, że ta Kozłowska ma unikalne, specyficzne zdolności, coś jak Włodek do malarstwa. Nie było na nią mocnych. Rozwiązywała wszystko z łatwością i jeszcze z nas pokpiwała – „ech wy, prymusi”. Po ukończeniu szkoły średniej na samych piątkach, została przyjęta do Instytutu Matematycznego w Mińsku bez egzaminów wstępnych.

Wybiegając do przodu, Włodka jako Białorusina potraktowano inaczej – otrzymał za naukę tylko „srebrny” medal i musiał zdać jednak egzamin do Akademii Sztuk Pięknych w tymże Mińsku. Oczywiście został przyjęty i ukończył naukę z wyróżnieniem.

Z ławki za mną zapamiętałem pewną dziewczynkę z długim warkoczem. Otóż na lekcjach literatury, szczególnie przy przerabianiu twórczości wielkich rosyjskich dramaturgów, w rodzaju Czechowa czy Gribojedowa, nauczycielki, zapoznając nas z treścią sztuki, przydzielały każdemu z nas, po kolei, poszczególne role jej bohaterów do wygłaszania.

Pozytywne skutki były co najmniej dwojakie – dzieci uczyły się mówić publicznie, co się przydało później, szczególnie mnie, oraz angażowały się w proces nauki, nawet największe łobuziaki z tylnych ławek.

Ta dziewczynka, nazwijmy ją Bołotowa, wymawiała słowa tak, że one jakby... zawisały w powietrzu i zdawało się, że można je było fizycznie dotknąć.